Jerzy Sosnowski

Od siedmiu lat z okładem tragedia na lotnisku pod Smoleńskiem obecna jest w debacie publicznej. Używam słowa „debata" ze względu na powagę tematu, choć ton wielu wypowiedzi z tą powagą nie licował. Nie da się zresztą ukryć, że z biegiem czasu te coraz mniej poważne wypowiedzi sprowokowały wyrojenie się makabrycznych żartów – i jeśli nawet z początku owe żarty można by TROCHĘ tłumaczyć tym, że śmiech bywa sposobem radzenia sobie z koszmarem, to wkrótce stały się one tylko niestosowne. Przecież na lotnisku Siewiernyj zginęli prawdziwi ludzie, w tym prezydent państwa i inni wysocy dostojnicy.
Pozwolę sobie zaznaczyć, że w ciągu tych lat o wypadku prezydenckiego samolotu wypowiadałem się, jak na publicystę, rzadko i dość powściągliwie. Jeśli nie liczyć audycji żałobnych, które prowadziłem w Trójce w dzień katastrofy, nazajutrz i dwa dni później, zabierałem głos chyba trzykrotnie. Raz, nie kryjąc wątpliwości co do miejsca pochówku prezydenta Kaczyńskiego, apelowałem na swoim blogu, żeby nie robić z tej kwestii przedmiotu awantury. Drugi raz – w którąś rocznicę katastrofy próbowałem na antenie ustalić ze zwolennikiem i przeciwnikiem teorii zamachu, co wiemy na pewno, a co może być przedmiotem dorzecznych kontrowersji (niestety się nie udało). Trzeci raz, znów na blogu, napisałem list otwarty do uogólnionego zwolennika teorii spiskowej, z pytaniem, czy jest w stanie wyobrazić sobie teoretycznie okoliczności, w których zmienia zdanie. Długo nie czułem się dość poinformowany, by głosić, że na pewno wydarzyła się katastrofa lub jednak zamach. Skłaniałem się raczej do tej pierwszej, ale liczyłem się z tym, że mogę nie wiedzieć o jakichś ważnych okolicznościach. Nie chciałem pisać tekstów, z których po latach musiałbym się wycofywać.

Skoro jednak prezes Jarosław Kaczyński podczas ostatniej miesięcznicy stwierdził – wyraźnie modyfikując swoje dotychczasowe stanowisko – że „poznamy prawdę albo stwierdzenie, że prawdy ustalić się nie da", myślę, że pora na podsumowanie. Zrobione z pozycji kogoś, kto bardzo długo wstrzymywał się od radykalnych wypowiedzi na temat Smoleńska.

1. Jeśli dobrze pamiętam, prawdopodobieństwo zamachu wydawało mi się od razu dość niskie, gdyż nie umiałem sobie wyobrazić sensownej odpowiedzi na pytanie: „cui bono?". Dziś, kiedy władze rozmaitych szczebli stawiają Lechowi Kaczyńskiemu liczne pomniki, następne zdanie zabrzmi jak prowokacja. Ale kończący kadencję prezydent, nie ujmując zmarłemu szlachetnych intencji, nawet we własnym obozie uchodził w przededniu śmierci za kandydata niewybieralnego po raz wtóry. Zdawało się dość oczywiste, że jego samodzielność była szalenie ograniczona, umiejętność współpracy z politykami partii innych, niż PiS – skromna (cohabitation z rządem Tuska przedstawiała się fatalnie), a jego działanie na arenie międzynarodowej – niewiele znaczące (może poza Gruzją i Ukrainą, czego u nas nie doceniano). Nie było zatem powodu, by wrogowie zewnętrzni czy wewnętrzni nie mogli poczekać kilku miesięcy na jego odejście z urzędu, lecz organizowali zamach, ryzykowny i kosztowny w wielu znaczeniach tego słowa.

2. Zwłaszcza że miejsce katastrofy było, z punktu widzenia propagandowego, niezwykle

kłopotliwe dla stron, które zwolennicy teorii o zamachu od razu wskazywali. Rosyjskie służby specjalne potrafiły usuwać swoich wrogów dyskretnie, daleko od swoich granic (począwszy od Trockiego, a skończywszy na Litwinience), tu zaś miały uśmiercić prezydenta sąsiedniego państwa u siebie, przy okazji wizyty w Katyniu? Co do polityków PO: miejsce i czas tragedii miały oczywisty potencjał legendotwórczy. A powtórzmy, że na początku kwietnia 2010 roku szanse Lecha Kaczyńskiego na reelekcję uznawano powszechnie za, wyrażając się najostrożniej, minimalne. Znowu więc należy pytać: po co? Szczególnie, że (o czym z biegiem czasu jakby próbowano zapomnieć) na pokładzie samolotu znajdowali się przedstawiciele wszystkich opcji politycznych, w tym tych, które jakoby zaplanowały zbrodnię.

3. Nie przypominam sobie z najnowszej historii sytuacji, w której gwałtowna śmierć jakiegoś wysokiego dostojnika nie obrastałaby natychmiast w podejrzenia, że była przez kogoś spowodowana. Śmierć Sikorskiego, Stalina, Berii, Bieruta, Wilhelma Piecka, Daga Hammarskjölda, Johna Kennedy'ego – wszystkie one, niekiedy zresztą słusznie, obrastały w teorie spiskowe. W tym sensie pierwsze komentarze do katastrofy pod Smoleńskiem mieściły się w granicach oczywistych reakcji społecznych na tragedię. Tym, co stanowiło novum, było zaangażowanie wysokiej rangi polityków w podtrzymywanie przez wiele lat teorii, dla której argumentów coraz wyraźniej NIE BYŁO. Innymi słowy: nie ma co się dziwić, że w społeczeństwie była i pozostaje pewna liczba przekonanych, że wypadek pod Smoleńskiem był nieprzypadkowy – ale szerzenie tego przeświadczenia przez osoby publiczne i to przez tak długi czas stanowi jednak przypadek bez precedensu.

4. Jak zwolennicy teorii o zamachu podkreślali z oburzeniem, media już po kilku godzinach forsowały tezę o tym, że wydarzyła się katastrofa. Oburzeni nie brali przy tym pod uwagę, że odpowiedzialne dziennikarstwo polega na określaniu faktów słowami, które przy danym poziomie wiedzy się narzucają. Jeśli samolot się rozbił – nastąpiła katastrofa, gdyż dla użycia słowa „zamach" nie było podstaw rzeczowych. Jeśli nastąpiła ona podczas lądowania w gęstej mgle – wzmianka o możliwym błędzie pilota także wydaje się usprawiedliwiona. Zwłaszcza, że pierwsze hipotezy, związane z teorią o zamachu: rozpylenie sztucznej mgły, helu, zestrzelenie samolotu – od początku raziły nieprawdopodobieństwem.

5. Jak wspominałem na początku, należę do ogromnej większości Polaków, którzy nie są specjalistami od wypadków lotniczych (niestety, zaliczają się do niej również eksperci ministra Macierewicza). Równocześnie jednak mój śp. ojciec był pasjonatem lotnictwa, w moim domu rodzinnym znajdowało się dużo książek na ten temat i – jeszcze raz to napiszę, żeby uniknąć śmieszności – nie będąc żadnym specjalistą, w dzieciństwie i młodości siłą rzeczy nasiąknąłem kiedyś pewną liczbą historii słynnych katastrof i ich mozolnego wyjaśniania. Stąd nie umiałem podzielać zdziwienia wielu moich rodaków, że rekonstrukcja przyczyn tragedii pod Smoleńskiem napotyka szereg trudności, że w zeznaniach niektórych świadków pojawiają się elementy niezgodne z tym, co zeznała większość, że pewne okoliczności pozostają jedynie bardzo prawdopodobną hipotezą, nie zaś niezbitym faktem i tak dalej. Tak to na ogół wygląda w takich razach.

6. Począwszy od pierwszych godzin po rozbiciu się polskiego Tupolewa, rząd premiera Tuska popełnił całą serię poważnych błędów merytorycznych i wizerunkowych. Niestety, trzeba przyjąć, że nasze państwo nie było przygotowane na tragedię o takich rozmiarach – co,

nawiasem mówiąc, nie sprzyja hipotezie, że rzecz została przygotowana na najwyższym szczeblu polskich władz. O ile mi wiadomo, powołanie się na konwencję chicagowską było najbardziej oczywistą, ale nie jedyną możliwą odpowiedzią na pytanie o procedurę śledztwa. Po ludzku poświęcająca się minister zdrowia, Ewa Kopacz, niewątpliwie nie powinna zapewniać o starannej pracy rosyjskich służb ratowniczych i jej zdanie o „przekopaniu na metr w głąb" terenu katastrofy pozostaje jednym z najbardziej nieodpowiedzialnych zdań w historii polskiej polityki. Równocześnie należało pamiętać, że partnerem naszym jest w tej sprawie rząd rosyjski. Nie kwestionuję współczucia zwykłych Rosjan, ale Kreml nie miał i nie ma do suwerennej Polski życzliwego stosunku, można więc było liczyć się z tym, co się wkrótce zaczęło dziać: że profesjonalni politycy rosyjscy wykorzystają katastrofę dla zdestabilizowania naszej sytuacji wewnętrznej. Nie wkraczając w obszar spraw, o których nie sposób dziś mieć jednoznacznej opinii, wolno stwierdzić, że ich obiektywnym (choć, być może, mimowolnym) sojusznikiem w tym dziele stał się Antoni Macierewicz.

7. Łatwo dziś, zestawiając wykluczające się wzajemnie hipotezy, głoszone w różnych latach przez tego ostatniego, ośmieszać teorię zamachu. Mimo tego, co napisałem powyżej, do ogłoszenia raportu komisji Millera nie można było wykluczyć, że znajdą się jakieś racjonalne przesłanki, by którąś z tych hipotez potraktować serio. Raport ów – co zresztą ostatnio przyznała nawet powołana przez ministra Macierewicza podkomisja – różnił się od raportu Anodiny, gdyż dzielił winę za spowodowane katastrofy między nie dość wyszkolonych polskich pilotów, działających pod oczywistą presją polityczną, a niestarannych rosyjskich kontrolerów, pracujących na zdezelowanym sprzęcie (tego wątku u Anodiny rzecz jasna nie było). Nawiasem mówiąc, NASZA decyzja o lądowaniu kolejnych dwóch samolotów z polskimi dostojnikami na nieużywanym od dawna lotnisku jest czymś, co po prostu zapiera dech w piersiach. Natomiast po zakończeniu pracy przez komisję Millera, która składała się z wypróbowanych przez lata wybitnych ekspertów, można było trwać przy hipotezie o zamachu jedynie za cenę uznania, że spisek objął także ich. Jest to skądinąd zgodne z szerzonym przez nasze obecne władze brakiem zaufania do kogokolwiek spoza PiS. Z trudnością przemilczam medyczną nazwę podobnych uprzedzeń.

8. Tym, co mnie najbardziej oburza, jest fakt, że postaci życia publicznego, przekonane, że prezydent Kaczyński zginął w zamachu, nie wahały się przez te lata miotać personalnych oskarżeń o udział w zamordowaniu go. Właśnie z tego powodu zdanie prezesa PiS, że być może „prawdy ustalić się nie da", jest – zakładając z przesadną życzliwością, że rzeczywiście o prawdę chodziło – czymś zbyt skromnym. Po siedmiu latach mocnych twierdzeń, że Donald Tusk z Władimirem Putinem zamordowali Lecha Kaczyńskiego, w czym pomagali im prominentni działacze PO i polskie służby specjalne, przyznanie, że tak naprawdę niczego nie wiemy na pewno, to skandal, który w normalnym kraju zmiótłby ze sceny politycznej wszystkich, którzy głosili z tak wielką pewnością, co się stało i kto jest winien.

Jerzy Sosnowski

https://koduj24.pl/o-dziesiatym-kwietnia-po-latach/